

Nie dla siebie to robię, lecz przede wszystkim dla następnych pokoleń. Ja już i tak wiele przeszedłem. Osiągnąłem. Dużo widziałem. Kto wie, czy nie najwięcej ze wszystkich dotychczasowych mieszkańców tej ziemi (biorąc oczywiście pod uwagę już ich wszystkich: Malutkich, Karłów oraz Olbrzymów). No bo przecież ja jako pierwszy Malutki (jeszcze) zszedłem ten półwysep w szerz i wzdłuż, zajrzałem w najdalszy zakamarek tego ogromnego lądowego wytworu, a także dokładnie opisałem wszystkie znajdujące się na nim Krainy. A to niemało. Przez to, co zrobiłem w wieku dziesięciu lat, stałem się kolejnym bohaterem naszej historii. Kimś szczególnym. Prawie pomnikiem mego pokolenia. Na dodatek mam liczne potomstwo, czyli pierwszych prawdziwych przedstawicieli nowego tutejszego gatunku, mianowicie Karłów. I z tego to powodu do szczęścia nic mi więcej nie potrzeba.

Opracowując na nowo zapis naszej drogi, mam na myśli rzesze bezimiennych następców. Miliony tych, którzy muszą wiedzieć, jaka była historia, jak kształtowała się tradycja, język i skąd się wszystko to wzięło. Bo przecież sroce spod ogona nie wyskoczyliśmy¹. Mamy korzenie i do nich musimy się odnosić. Przyroda bez korzeni umiera. Społeczeństwo Siellandii, jeśli oderwie się od nich, także padnie martwe. Nie można do tego dopuścić. Tym bardziej że przecież tutejszy świat bez historii, bez tradycji, a także przede wszystkim kształtowanego na każdym kroku szacunku nie istnieje. Nie funkcjonuje właściwie.

I dlatego podjąłem się trudu usystematyzowania fragmentów notatek w jedną zwartą formę, by móc je wreszcie szerzej zaprezentować.

Podczas ponownej pracy nad tym tekstem starałem się być jak najbardziej obiektywny. I wyjść poza obszar ograniczony emocjami. Jak również nie zrobiłem niczego, by w jakikolwiek sposób w niego ingerować, a już tym bardziej poprawić to, co zostało wcześniej napisane. Nic też nie dodałem i niczego nie ująłem. Choć ciężko przyszło mi to znosić, to jednak udało mi się utrzymać emocje na wodzy. Nie dałem się ponieść szalejącej pod wpływem wspomnień fantazji. Ba, przemilczałem nasuwające się co rusz komentarze. I pomimo tego, iż było to bardzo trudne, pozostawiłem je w spadku Czytelnikowi.

¹Siellandiańskim odpowiednikiem tego powiedzenia (stosowanym zamiennie z innym, znanym z mitów) jest — a jakżeby inaczej — „Nie czyta się «Pamiętnika», zanim nie zostanie ostatecznie poprawiony”. Wiadomo chyba dlaczego (przyp. tłumaczki).

To oczywiste, dlaczego postanowiłem zachować bez zmian oryginalny tekst. Bo przecież najlepiej oddaje atmosferę tamtych tajemniczych, ale dzisiaj — z perspektywy lat — jakże wspaniałych wydarzeń i chwil.

Jedyne, co mogłem w tej sytuacji zrobić, to na nowo go opracować poprzez przepisanie bardziej trwałym i wyraźniejszym atramentem. Takim, co przetrwa kolejne pokolenia. Na koniec zaś oprawić szarą okładką, przetroczoną na brzegu sznurkiem, w ten sposób wieńcząc jednym zbiorczym opracowaniem, tworząc z tego książkę².

Chciałbym też przy okazji — nieskromnie — dodać, że marzy mi się, aby ta księga trafiła kiedyś do domu każdego obywatela tego Kraju, tej wspaniałej Krainy. A w przyszłości — gdy Siel i jej mąż jednak na nowo się odrodzą — również do Ich rąk, by mogli przekonać się na własne oczy, jak bardzo staraliśmy się, by to się stało³.

Wierzę w to, że kiedyś tak będzie, chociaż dzisiaj wiele bym dał, by zdarzyło się to teraz. Za chwilę.

Nie będę też rozpisywał się na temat tego, co czuję, gdy biorę do rąk te ponad czterysta zakurzonych stron zapisanych drobnym pismem na lekko wyblakłych już i pokrytych kurzem kartkach papieru. I co myślę w tym momencie. Bo przecież to jest jasne. Mocno bije mi serce, niemal podchodzi do gardła. To oczywiste. Przynajmniej dla każdego, kto już kiedyś w życiu doświadczył podobnej sytuacji. Mało tego, podniosła to i bardzo nostalgiczna chwila. Ale godna swego istnienia. No cóż, czyż nie dla takich właśnie sytuacji w życiu się egzystuje, pokonuje kolejne tajniki życia, meandruje wraz z rzeką losu⁴, znosząc cierpliwie kaprysy tego ostatniego? Tak, właśnie dla nich. I po to, by uczestniczyć w tych doniosłych, szczególnych momentach,

²Od tego momentu wszystkie książki w Siellandii wytwarzane są w skromnych, szarych kartonowych okładkach scalonych na brzegach sznurkiem, dzięki czemu odróżniają się od innych. Są łatwo rozpoznawalne, a także stanowią swoisty znak firmowy tutejszej kultury (przyp. tłumaczkii).

³Zgodnie z zapisami w mitach Siellandii jego marzenie urzeczywistniło się. Jego historia stała się bowiem mitem i jednocześnie bardzo ważną pozycją w literaturze Siellandii. Ów Pamiętnik, o czym wiemy, zaliczany jest do Wielkiego Panteonu, czyli do pięciu najważniejszych dzieł tutejszej kultury, stanowiących filary jestestwa i bytu zamieszkującej tę Krainę społeczności, a przechowywanych do Pogromu w Muzeum Historii Siellandii na wyspie Czasu, która wchodziła w skład Archipelagu Budowniczych. W jego skład, przypomnę, wchodzi: „Mity”, „Siellandiańskie Opowieści na Dobranoc”, „Przepowiednie Kaktusa”, „Atlas Siellandii” oraz Pamiętnik, o którym mowa. Co do ostatniej części jego marzenia, wszystko przed nim. Teraz może nawet jest bliżej — wbrew pozorom — niż kiedykolwiek: skoro jego książka dotarła tak daleko — do kraju odległego o wiele setek kilometrów od tamtej Krainy, a kto wie, czy nie jeszcze dalej — to nie jest wykluczone, że trafi ona również w ręce wywołanych przez niego adresatów. Co więcej, myślę, iż nie jestem odosobniona w swoim poglądzie twierdząc, że kiedyś tak się stanie (przyp. tłumaczkii).

⁴W tym wypadku chodzi o los (bieg wydarzeń, na który nie mamy wpływu) w znaczeniu znanym z ludzkiego języka, dlatego wyraz ten pisany jest z małej litery. Ta interpretacja nie jest błędem, albowiem w znaczeniu Siellandian Los kieruje biegiem wydarzeń, fartem, etc., które meandrują niczym rzeka, są bystre i nieokiełznane. Efekt ten nazywa się w Siellandii właśnie „Rzeką Losu” (przyp. tłumaczkii).

jak ten dzisiejszy. Dlatego warto żyć i cierpliwie — najlepiej z pokorą i skromnością — czekać na szczęśliwy dzień.

A ten ostatecznie na pewno nadejdzie. Wcześniej czy później.

Nie mogę za to oprzeć się pokusie pochylenia się nad problemem, co zrobiło z nami te ponad pięćdziesiąt lat. Jaką historię każdemu z nas przydzieliło w naszych osobistych... Księgach Czasu? Jakie scenariusze⁵ aktorom tamtych wydarzeń dało do zagrania na późniejszej scenie życia? Wreszcie: w jakie tryby nas wprowadziło i co z tego powstało?

Życie niestety potraktowało nas brutalnie. Nie oszczędziło. I to fakt bezsporny. Spośród naszej czwórki tylko ja dotrwałem do tej chwili. Szkoda, ale niestety Czas wezwał pozostałych z tego padółu do siebie. Nakazał im wszystkim — w tym niestety też i mojej kochanej żonie — udać się na Leib i tam czekać na inne czasy. Na dostąpienie zaszczytu.

I czekają tam do dnia dzisiejszego.

Wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego do tego doszło? Z jakiego powodu tak szybko zakończył ich życie? Jaka była tego przyczyna?

Czyżby nie chciał, by pamięć o tamtych wydarzeniach była przekazywana następnym pokoleniom i dlatego nas powoli, choć metodycznie eliminował? To jest najprostsze wytłumaczenie. Ale czy tak jest naprawdę?

Raczej nie sądzę, bo gdyby tak było, to i mnie wezwałby już dawno do siebie. Może nawet jako pierwszego? A jednak tego nie zrobił. Pozostawił mnie na tej ziemi. Oszczędził swój gniew na mnie jedynym. Dlaczego? Czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie?

Może po to, żebym dalej krzewił pamięć o tamtych wydarzeniach? Żebym przekazywał prawdę?

Tak to odbieram i taką drogą będę podążał.

Szkoda mi ich wszystkich, tym bardziej że przecież odeszli w młodym wieku. Byli też moimi przyjaciółmi. Najszybciej pożegnał się z nami mój przyjaciel, który pewnego pięknego dnia — kilkanaście lat po powrocie — spadł w przepaść i zginął na miejscu.

⁵Zastosowałam ludzkie pojęcie (scenariusze), chociaż w oryginale brzmi to „Warianty Czasu” („Mit-o-wi-kol-es”, gdzie: „wi-kol” to „propozycja życiowa”, słowo pochodzące wprost z mitów, takie samo jak „wi-no” czy „wi-arus”, za to „-es” oznacza liczbę mnogą. Wtedy można tłumaczyć to jako „warianty”). W związku z tym, iż zastosowane w tym miejscu słowo w innych mitach zostało swego czasu przetłumaczone przez Andrzeja P. jako właśnie „scenariusze”, pozostałam tej interpretacji wierna (przyp. tłumaczki).

Niesamowita tragedia. Dla niego, jego młodej żony oraz nas wszystkich. I jakże podobna do innej mitologicznej historii.

Cóż, stało się i nie da się tego cofnąć. Odmienić biegu rzeki losu. Nieraz wydaje mi się, że to wielki błąd, iż nie wolno nam mieć drugiej szansy, jaką otrzymała swego czasu Biel, a wraz z nią i Siellandia.

Ale z drugiej strony... może i lepiej?

Sam nie wiem.

Potem wszystko potoczyło się lawinowo. Niczym grad kamieni spadających z najwyższych szczytów Krainy Gór w wyniku ostrego, silnego i porywistego wiatru. Czas zaraz potem zabrał do siebie — kolejnym tragicznym kaprysem — kolegę mego przyjaciela. I to w najmniej do tego adekwatnej chwili — w której ten lada moment miał doczekać się potomka.

Cóż, taka była Jego wola, a z nią się przecież nie dyskutuje.

Jedynie mojej żonie dał najdłuższą możliwość cieszenia się życiem. Mną. Z naszego liczego potomstwa. Przynajmniej tyle! Mimo wszystko, dzięki Ci za to! Na szczęście pozwolił jej również zrobić to w najpiękniejszy z możliwych sposobów. Odeszła bowiem ode mnie we śnie. Nagle i dla nas obojga niespodziewanie.

I pomyśleć, że stało się to zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy to wydaje się, że wieczność od tego nieszczęścia minęła.

Śpij więc spokojnie i czekaj na mnie. Podobnie jak i wszyscy pozostali, którzy nie doczekaliście tego momentu. Tej chwili.

Cześć Waszej pamięci⁶!

Ale spokojnie, Wasza ofiara nie pójdzie na marne. Zapewniam was. Jakem... Sz Mokrade! Wszyscy pozostaniecie w mojej pamięci do mojej śmierci. A i dzięki temu opracowaniu w pamięci setek pokoleń Siellandian⁷.

I w tym miejscu czas najwyższy przejść do głównej myśli. Do celu, który tak naprawdę pchnął mnie ku powrotowi po latach do tego pamiętnika. Była nim bowiem nieodparta potrzeba złożenia hołdu moim przyjaciołom — istotom jakże mi bliskim. Chęć pozostawienia po nich trwałego śladu, aby wiedziały o nich wszystkie pokolenia

⁶I znowu wbrew pozorom nie mamy do czynienia z lapsusem słownym, złą interpretacją, ani tym bardziej z moim niewłaściwym tłumaczeniem. Jest to oryginalny zapis. I takim to przedstawiam w ludzkiej wersji. Przy czym zdaję sobie sprawę z tego, co Czytelnik może mieć na myśli. Nie pozostaje Ci zatem nic innego, jak przyjąć te rewelacje do wiadomości. Niezależnie od tego, jak brzmi — bardziej czy mniej wiarygodnie, dorzecznie czy też nie. Z tego, co napisałam wynika jednoznacznie, że powiedzenie to jest siellandiańskie. Ale skoro Siellandia jest kolebką Ludzkości, to chyba tym bardziej nie powinien dziwić Cię ten fakt (przyp. tłumaczki).

⁷A teraz też i Ludzi (przyp. tłumaczki).

Siellandii. Niechaj zatem pamięć o nich — o wspaniałych, skromnych i nigdy nie łaknących splendorów i zaszczytów Siellandianach — będzie dzięki tej opowieści ponadczasowa. Wieczna i trwale zapisująca się we wszystkich sercach i umysłach tutejszej społeczności. Niezależnie od tego czy rodzimej, czy — z czasem — też... napływowej⁸.

Na koniec słów jeszcze kilka na temat samej podróży, która to wszak legła u podstaw powstania tego „Pamiętnika”. Powstawał on bowiem — co nie jest tajemnicą — podczas szalonej i jedynej chyba jak na razie przeprowadzonej z takim rozmachem brawurowej wyprawy, jaką rozpoczęliśmy ponad pięćdziesiąt lat temu. Podczas jej trwania (od momentu, w którym opuściliśmy swoje domostwa do chwili, w której ponownie się w nich pojawiliśmy) przeszliśmy ogrom kilometrów. Przetarliśmy też wiele nowych dróg. W społeczności Siellandii pozostawiliśmy po sobie nieprzeliczoną ilość wspomnień, zawariliśmy wiele przyjaźni. Poznaliśmy każdą z Krain, jaką ten szczególny Półwysep się szczyli.

Pozostały też po niej szkice, rysunki i obrazki, które zostały narysowane głównie przez mojego przyjaciela, ale także i dłonie naszej pozostałej trójki partycypowały (w mniejszym, ale jednak, stopniu) w ich tworzeniu podczas tej wyprawy. Dlatego zebrawszy je w jedną całość, zrobię z nich część składową — w formie załącznika⁹—

⁸W oryginale widnieje słowo „obcej”. W tamtych czasach jako obce traktowało się wszystko spoza Siellandii, zatem i całą przyrodę poza nią. Dlatego jest to w naszym ujęciu „napływowe”. Nie należy jednak tego kojarzyć z obecnym znaczeniem „napływowego”, a już tym bardziej prorokowania przybycia Ludzi. Wszelkie tego typu interpretacje są jak najbardziej niewłaściwe, anachroniczne i niedorzeczne, a co za tym idzie, niedopuszczalne (przyp. tłumaczki).

⁹W związku z rozlicznymi — uzasadnionymi — obiekcjami wynikającymi z porównania przedstawionego w tym miejscu zapisu z twierdzeniami zawartymi przez autora „Mitologii” w przypisie 555, a dotyczącymi oryginalnego dodatku do owego Pamiętnika, pokusić się muszę o bardzo istotny komentarz, który wyjaśni owe wątpliwości. Pisząc te słowa, opieram się na wynikach wielowiekowych badań nad tą materią, poczynionych jeszcze w Siellandii, a potem kontynuowanych w Rozproszeniu. Otóż Andrzej P. delikatnie rozmija się z prawdą w swoim przypisie. Prawdopodobnie wynika to z niezrozumienia problemu, bo nie zgłębił tego tematu, a oparł się jedynie na zasłyszanych i krążących po niektórych Krainach tej ziemi opowieściach, które to nie do końca — jak każda zresztą wieść gminna — są zgodne z faktami. Zatem jaka jest prawda? Oryginalnym załącznikiem tego Pamiętnika (od momentu zakończenia jego napisania do momentu jego ostatecznego kształtu) były szkice, obrazki i rysunki wykonane przez uczestników Wyprawy, które po jej zakończeniu zostały zdeponowane wraz z luźno zapisanymi kartkami kroniki z podróży u autora tej książki. Zatem autor wstępu ma rację. Jednakże w okresie ponad pięćdziesięciu lat, jakie dzieliły powstanie tej książki (Wyprawy) od jej ostatecznego kształtu (wersji, która jest podstawą tej wersji tłumaczenia) wydarzyło się coś znamiennego, co należy w tym miejscu podkreślić, gdyż stanowi sedno problemu. Autor tej książki bowiem wszedł (zupełnie przypadkowo) w posiadanie Atlasu namalowanego jeszcze na dworze samej Siel i Natury przez Pięciu Budowniczych Siellandii (dla przypomnienia — uratowanego z zagłady Leiba), zdeponowanego przez umierającą Siel u Kaktusa, a potem przekazanego w spadku jego następcy. I za namową autora książki, przede wszystkim dla zachowania go dla potomnych, cała czwórka przez kilka dni i nocy przerysowywała wiernie jego strony, na koniec oddając go właścicielowi. Nie będę rozpisywała się na temat tego, w jaki sposób znalazł się on w ich rękach, bo nie jest to w tym miejscu istotne. Być może kiedyś do tego wrócę, ja albo któryś z moich współobywateli. Wracam więc do głównego wątku. Ostateczna

tego Pamiętnika. Ubarwią go, nadadzą mu wiarygodności i na pewno poruszą wyobraźnię niejednego Czytelnika.

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć wszystkim miłych wrażeń podczas śledzenia naszych losów sprzed lat. I niech wasza wyobraźnia — niczym przez was nieograniczana, niewstrzymywana, niepohamowana w żaden sposób — dopisuje kolejne nowe fragmenty do tych wydarzeń, jakie miały w rzeczywistości miejsce. Tylko proszę, nie wychodźcie poza ramy nakreślone tą opowieścią.

Wierzę też, że urzeknie Was ta historia i jeszcze wielokrotnie będziecie do niej wracać. A i pamięć o moich wspaniałych kompanach pozostanie w Waszych sercach.

Z góry Wam za to dziękuję.

Arolf-o-ot-ka¹⁰,

wersja tej książki opracowana przez autora po ponad pięćdziesięciu latach od zakończenia Wyprawy (w treści głównej ta, z której ja korzystam przy tłumaczeniu), posiadała dwa dodatki. Jeden (szkice i rysunki powstałe po drodze) jako autentyczny dodatek, oraz drugi (przerysowany „Atlas...”) jako samodzielny dodatek, ale dołączony do tej pozycji książkowej. Jednakże w momencie umieszczania jej w Muzeum Historii Siellandii na wyspie Czasu, co wydarzyło się dopiero wiele lat po śmierci autora, oba te rysowane dodatki rozdzielono i zrobiono z nich dwa oddzielne dokumenty, nazwane odpowiednio „Atlasem Siellandii” oraz „Krajobrazami Siellandii”. Oczywiście oba dołączyły do pozostałych trzech („Mity”, „Pamiętnik” oraz „Siellandiańskie Opowieści na Dobranoc”), przy czym tylko jeden z nich („Atlas...” z racji namaszczenia przez samą Siel) wszedł w skład tak zwanego Pentagramu. I tak, według faktów, wygląda ten problem. Na koniec jeszcze dwie ważne związane z tym sprawy. Po pierwsze: z tego, co mi jest wiadomo, oba te rysowane dokumenty krążą po Rozproszeniu pomiędzy Siellandianami i są dla nich swoistymi „sterem, żeglarzem i okrętem”, kierującym ich w stronę ich ukochanej i poszukiwanej wciąż Krainy. Drugi problem dotyczy wszelkiej maści malkontentów i rozsiewaczy wszelakich teorii spiskowych, których przez wszystkie lata istnienia Siellandii nie brakowało (o czym jeszcze napiszę szerzej w dalszej części). Ta sprawa była dla nich zawsze przysłowiową (ale w ujęciu ludzkim) wodą na młyn dla szerzenia swoich niepopularnych wśród naszej społeczności poglądów oraz dla popierania swoich nie zawsze zgodnych z prawdą teorii. Ale taka postawa jest chyba przypadłością wszelkich miejsc na Ziemi, a nie tylko tej małej, skromnej Krainy (przyp. tłumaczki).

¹⁰Czwartek, czwarty dzień tygodnia. Zatem, zgodnie z wcześniejszą sugestią, należy się drobne wyjaśnienie dotyczące występowania dni tygodnia w Siellandii. A trzeba im oddać sprawiedliwość, że są to wyrazy, które najpełniej (nawet bardziej niż słowo „Mit-o-logia”) oddają zasadę tworzenia słów poprzez łącznik „-o-”. Ponieważ ich twórcą był Fauna („Arolf”), jest on zawsze umieszczony na początku każdej nazwy dnia tygodnia. A w związku z tym dopiero z członu następującego po łączniku poznajemy, z którym z konkretnych dni mamy do czynienia. W tym wypadku obowiązuje prosta i uporządkowana zasada: odpowiednim dniom przypisane są w pierwszej kolejności odpowiednie liczebniki odpowiadające ich kolejności występowania w tygodniu (według zasady: od poniedziałku do niedzieli — 1-7). Poszczególnym dniom tygodnia przypisuje się odpowiednie liczebniki (i tak: „pi” to 1, „ta” oznacza 2, „ti” — 3, „ot” przypisane jest 4, „ro” to 5, za to „it” jest 6. Natomiast będący zwieńczeniem wszystkich wcześniej wymienionych, spinający je i zamykający tydzień — dzień siódmy — określa się mianem: „pi-ta-ti”). Do każdego z wcześniej omówionych członów przypisany jest wyraz „ka”, który oznacza (wiemy to z mitów) „ranek”. Dlaczego akurat ranek, a nie dzień („ab”)? W myśl bardzo popularnego, wręcz kultowego powiedzenia: „Sa-ka sa-ab”, Siellandianie uważali, że **najważniejszy jest zawsze ranek i od niego uzależniony jest cały dzień**. Poza tym pierwotnym słowem jest właśnie wyraz „ranek”, dlatego też z tego właśnie powodu jemu

siódmy dzień pierwszego ze środkowych miesięcy¹¹ na Półwyspie Konia
(trzeci miesiąc po moich dziesiątych urodzinach),
druga połowa dnia, ale bliżej mroku¹²

Postanowiłem zrobić to... właśnie dzisiaj.

W końcu zdecydowałem się na ten krok. Musiałem tak uczynić. Nie było innego wyjścia. Nie mogłem już dłużej wstrzymać i nie pozwalać wypływać co rusz gorącej, palącej wręcz lawie sprawdzenia niewiadomego, bo jedynie zasłyszanego, wreszcie zbadania do tej pory przez nikogo niezbadanego. No, może odbyło kilka prób — w tym jedną bardzo bliską realizacji¹³. Ale pomimo tego śmiało i bez obawy o konsekwencje mogę jednak stwierdzić, że wszystkie dotychczasowe zakończyły się fiaskiem¹⁴. Kompletnym niepowodzeniem.

należy się palma pierwszeństwa. Przedstawiony powyżej podział, jak i wynikające z niego nazewnictwo są logiczne. Stąd konstrukcja słów nazywających poszczególne dni tygodnia w języku siellandiańskim. Co więcej, liczebniki od 1-7 w języku pochodzącym z Półwyspu Konia, w takiej formie zapisu oraz brzmienia występują jedynie w słowach określających dni tygodnia oraz nazwy miast. W pozostałych przypadkach ich nazewnictwo jest inne, ale o tym w swoim czasie. Warto też w tym miejscu zauważyć, iż pierwotnie zamiast liczebników stosowano nazwy opiekunów Malutkiego-bis, którzy danego dnia i wieczora opiekowali się nim, kołysali go do snu jak i opowiadali (z różnym skutkiem) barwne opowieści na dobranoc. Z czasem jednak — już po tej Wyprawie — ich nazewnictwo zostało zmienione na takie, jakie zaprezentowałam w przypisie. I w takiej niezmienionej formie dotrwało do współczesności. Należy też zauważyć, iż autor zastosował w Pamiętniku nazwy stare (z nazwami opiekunów), które ja pozwoliłam sobie przetłumaczyć na współcześnie obowiązujące. Tamte nazwy dni tygodnia zachowały się za to już tylko w oryginale tego Pamiętnika oraz w „Siellandiańskich Opowieściach na Dobranoc”. Na koniec, ale tylko dla usystematyzowania sprawy dodam, że dosłowne tłumaczenie zwrotu „Arolf-o-ot-ka” to „Czwarty ranek Fauny” (przyp. tłumaczki).

¹¹W Siellandii miesiące nie posiadają swoich nazw. W tym wypadku nie jest zatem tak, jak ma to miejsce w ludzkim świecie. Ich „umowne nazwy”, jak je nazwiemy, stanowią numery odpowiadające kolejności ich pojawiania się w kalendarzu. Przypominam, że w całym roku wszystkich jest 16 (przyp. tłumaczki).

¹²W tym miejscu chwilę poświęcę na wyjaśnienie sprawy związanej z „porankiem” („rankiem”) oraz „wieczorem” („początkiem mroku”). Jak wiemy, „ka” to ranek, a „nios-ka” to „niesiony ranek”. Można to również tłumaczyć jako „wschodzący”, „wchodzący”, a także „wnoszony” ranek. W Siellandii istnieje też słowo przeciwne do „nios”, czyli „soin”, które ma kilka znaczeń. Przede wszystkim „schodzący”, „opadający”, ale także „szybkowy” (nie mylić z „końcem”!). W związku z tym słowo to w połączeniu z „ka” („soin-ka”) oznacza właśnie „wieczór”. Co ciekawe, istnieje „soin-ab”, czyli „schodzący dzień” — więcej w przyp. 43. Zgodnie w powyższym dni stosuje się do określania czasu od końca „nios-ka”, do początku „soin-ka”. Dlaczego zatem „soin-ka”? Siellandianie wychodzili z założenia, że ich „soin-ka” jest jednocześnie „nios-ka” nieżyjących już pośród nich i oczekujących na Leibie na „ponowne dostąpienie szczytu” (wiadomo, co się za tym kryje). I na odwrót (przyp. tłumaczki).

¹³Według danych zebranych w Siellandii do czasu Rozproszenia, do momentu rozpoczęcia tej Wyprawy, prób odnalezienia Pierścieni Uczuć Przestrzeni było ponad pięćdziesiąt (w tym oczywiście ta odbyta na polecenie Słońca przez Florę i Faunę). Dlaczego akurat tę wspomina autor? Bo była najbardziej znana pośród wszystkich. Po pierwsze z racji zaistnienia w mitach. A po drugie i zarazem najważniejsze (z punktu widzenia autora) z powodu odnalezienia jednego z owych Pierścieni. A wyczyn ten był znamienity z racji tego, że dokonał się w tym jednym dotychczasowym wypadku, co nikomu innemu się nie udało (przyp. tłumaczki).

¹⁴Przetłumaczyłam to na „fiaskiem”, chociaż w oryginale brzmi „Piaskiem” (dokładnie: „ponownym Piaskiem”). Zamysłem autora był „powrót do Piasku”, czyli powrót do początku. Do sytuacji wyjściowej. Współcześnie to powiedzenie (nie mylić z „Powrotem do Piasków”, choć to subtelna różnica w wypowiedzi, to kolosalna w intencjach i interpretacji myśli) również można takim słowem tłumaczyć. I wcale nie z powodu jednakowego brzmienia obu słów. Od tamtych czasów bowiem i tak aż do współczesności „Powrót do Piasku” jest porażką. Wyraża pewną niemoc, a także słabość w trakcie realizacji celów (przyp. tłumaczki).

Zbyt długo za mną chodziło to jak cień. Zbyt mocno mnie trzymało. Za bardzo też chciałem. Tylko: co? Zobaczyć? Spróbować? Czy jednak bardziej pójść pod prąd? Wbrew nurtowi głównej Rzeki tej Krainy — oczywiście tej powstałej z Siel? Wbrew opiniom innych, szczególnie dorosłych? A może wręcz na złość im? Tak zwyczajnie, po prostu, żebym... „to ja wyszedł z tego jak Natura z rozmowy z Siel”¹⁵!

Nie wiem dlaczego. Prawda jest taka, że w pewnym momencie naszło mnie i nie odpuściło. Zakorzeniło się niczym ziarenko Kaktusa swego czasu na dziewiczym, pustynnym krajobrazie i tak pozostało. A potem — pomimo niesprzyjających okoliczności — rozrosło się i przetrzymało burze oraz zawieruchy. Najgorsze.

Tak samo było i jest w przypadku tego mego ziarenka próby.

I tylko przez to jestem tu i teraz. W tym konkretnym miejscu. Na zakręcie można rzec.

Tak, to prawda. Już w dzieciństwie — w momencie, w którym dowiedziałem się od rodziców o swoich korzeniach, kiedy usłyszałem z ich ust te wszystkie wspaniałe Opowieści o przeszłości tej Krainy, o moich przodkach i historii powstania świata, kiedy poznałem Historie dotyczące Natury oraz Przestrzeni, już wtedy to we mnie zakiełkowało. Natychmiast się zakorzeniło. Stało się tak gdy miałem kilka zaledwie lat. Nie wiem dokładnie ile. Ziarenko to na tyle głęboko wbiło się w moje serce, duszę oraz umysł, że żadne późniejsze wydarzenie — żadna nowa informacja przekazana mi przez rodziców, znajomych, dalszą rodzinę czy wreszcie kolegów oraz przyjaciół — nie spowodowały, że ten mały zarodek wyskoczył z nich samoczynnie, niczym woda pierwszego Wodospadu w Krainie Gór (stworzonego samą ręką Siel). Ba, snute mi potem przez Przyrodę opowieści o czasach sprzed mojego życia jeszcze mocniej ukorzeniły go w podatnej na jego rozwój glebie, przez co spowodowały, że tak mocno się z nią związał. Do dzisiaj w niej tkwi, asymilując się z nią tak mocno — stając się jej częścią składową — że teraz ta bez niego nie może już normalnie funkcjonować. Rozwijać się. Piąć po szczeblach drabiny¹⁶ życia.

¹⁵Dla przypomnienia: „Wyjść z czegoś jak Natura z rozmowy z Siel”, to w tłumaczeniu na ludzki język: „Moje musi być na wierzchu” (przyt. tłumaczki).

¹⁶To nie jest żaden błąd językowy czy lapsus słowny, na co by wskazywało na pierwszy rzut oka. Wyraz ten był bardzo dobrze znany w Siellandii, albowiem określał przedmiot często stosowany przez tamtejszą społeczność w sytuacji, gdy mieli wspiąć się wyżej, aniżeli się znajdowali. Jego wygląd niczym nie odbiegał od tego znanego Ludzkości, jedynie jego nazwa oznaczała w dosłownym tłumaczeniu: „wspinaczkorzecz” („wspinaczkoprzedmiot”) bowiem: „ban-er” to wyraz pochodzący od: „ban”, czyli „wspinanie się”, „gramolenie”, „wchodzenie”; zaś „er”, czyli „rzecz”, „przedmiot” (przyt. tłumaczki).

A kiedy niebawem okazało się, że jak na razie nikomu do tej pory nie udało się ich odnaleźć, a przez to wskrzesić głównych Architektów, Twórców, Mentorów, wreszcie Protoplastów i Prarodzców wszelkiego otoczenia — a zatem także i mnie — tym bardziej doszedłem do wniosku — słusznego zresztą — iż jednak powinienem to zrobić. Że muszę podążyć tą właśnie ścieżką. Mało wydeptaną, słabo wytyczoną i biegnącą pomiędzy ostępami, to fakt.

Dlatego jestem tu i teraz.

Długo, oj bardzo długo dojrzywałem do tej decyzji. Niczym jabłko w strefie zrzutów spadłe po potrząśnięciu drzewem i wystawione na widok publiczny. Wielokrotnie w przeszłości wahałem się. Z jednej strony bałem się wyruszenia w nieznany świat, na niepewne i tajemnicze ścieżki. Z drugiej zaś szukałem optymalnego rozwiązania, a i wytłumaczenia uporczywego i tej mojej dziwnej — patrząc na to obiektywnie — postawy. Wreszcie — w razie niepowodzenia — ich usprawiedliwienia.

Wszystko przez to, że wciąż prześladowała mnie obawa o to, czy podołam, czy dam radę, czy aby na pewno nie jestem za mały, zbyt mało doświadczony, by podjąć się tego wyzwania? No i oczywiście czy słusznie postępuję chcąc, dążąc za wszelką cenę do tego, by opuścić domowe pielesze i udać się w tę tajemniczą, nieznaną i trudną do przewidzenia podróż?

Wyprawę z wieloma znakami zapytania. I być może również bez odpowiedzi.

Ale w końcu — po długotrwałych przemyśleniach, po dogłębnej analizie dobrych i złych stron tej sprawy, po ustanowieniu wszystkich „za” i „przeciw” — ostatecznie zdecydowałem się na ten krok. Na ów nieokreślony jednoznacznie i niebezpieczny ruch. Lecz w moim odczuciu jedyny słuszny w tej sytuacji. Taki, jakiego wymaga się i oczekuje od prawdziwego mieszkańca tej Krainy, a tym bardziej jednego z Malutkich.

Dlatego teraz — siedząc na trawie, która równo porasta otoczenie mego domu, powstałego wzorem pierwszej w tej Krainie osady stworzonej przez samą Przestrzeń i jej męża, w niewielkim pagórku w Krainie Nizin — jestem zdeterminowany, by pójść. I zrobić to, co tak naprawdę już dawno powinno być zrobione.

Bo jeśli nie ja, to kto, skoro nikomu do tej pory się nie udało? I jeśli nie teraz, to... kiedy¹⁷?

¹⁷Wiem, że ten akapit może kojarzyć Ci się ze słowami jednego z przywódców współczesnego świata. I jest to jak najbardziej naturalne (w sensie ludzkim oczywiście) skojarzenie. Jednakże dalsze jego rozwijanie, a tym bardziej

Nie mogę już dłużej czekać. Każda chwila zwłoki jest porażką. I może być tragiczna dla współczesnego świata, który od czasu śmierci Siel i Natury pełen jest oszustw, kłamstw oraz intryg. Źle się ostatnimi czasy bawi Biel. I źle się z nią dzieje. Zmierza ku zagładzie. Co też ten Czas wyprawia, że to, co się z nią dzieje, bardzo niedobrze wróży na przyszłość?

Aby zatem ukrócić samozwańcych władców oraz ich złe dla podwładnych metody rządzenia, świat potrzebuje tylko jednego. Jedno jest rozwiązanie dla wielu problemów otoczenia i ulżenia jego podłej doli.

Należy znaleźć Pierścienie. A potem zanieść Je w odpowiednie miejsce i tam — tak jak to powiedział przed laty Kaktus-Wyrocznia¹⁸ — złączyć w jedną całość. Wtedy właśnie wrócą Oni — jedyni i prawowici władcy tej ziemi. Nie z naznaczenia. Z nadania. Nie z wyboru kogoś wielkiego z racji swojej pozycji.

Z woli całego potrzebującego Ich teraz świata.

Tylko Oni są w stanie stanąć i rozdzielić zwaśnione strony. Udobruchać podłą, okrutną siłę Czasu. Przemówić do Tego, który mści się na Bieli. Który miesza szyki tu, na dole, a już w oczku w głowie Ich samych tym bardziej. I tylko Oni są w stanie zaprowadzić ład i porządek. Załagodzić wszystkie konflikty narosłe od Ich śmierci. Przyjąć na nowo władzę. I dać tej ziemi odpowiedni czas na to, by mogła się harmonijnie i z Ich pierwotnym planem, z Ich założeniami i zamysłami rozwijać.

Dlatego musimy to zrobić jak najszybciej. Teraz, kiedy nas wszystkich tu żyjących cierpliwość i miarka się przebrały. Doszły do kulminacyjnego momentu¹⁹.

zmierzanie w kierunku jakichkolwiek teorii, w tym głównie niedorzecznych, spiskowych, pozbawione jest jednak sensu (przyp. tłumaczki).

¹⁸Istnieje Jego Przepowiednia, która mówi jednoznacznie o dokonaniu się akurat takiego faktu. Co prawda nie jest umiejscowiona w jakimś konkretnym czasie, ale przecież żadna z zaprezentowanych przez Niego swego czasu myśli nie ma konkretnego przełożenia na jakąkolwiek datę lub okres w dziejach Siellandii czy Bieli (stąd między innymi jego drugie imię — „Kaktus-Wyrocznia”, nadane mu wiele wieków po tym, jak odszedł z tego padofu). Na jej wyjaśnienie ciągle zatem czekamy (przyp. tłumaczki).

¹⁹Wielowiekowe badania nie tylko zapisów w mitach, ale również okresu, o którym opowiadają, czasów tuż po śmierci Siel, a także samych podróży w poszukiwaniu Wielkich Pierścieni (w tym i Tej) jednoznacznie wskazują, że tego typu twierdzenie, którym autor Pamiętnika tłumaczył swój desperacki czyn (jak niektórzy o nim mówią) było jednak na wyrost. Rozmijało się z prawdą. Nic bowiem ani złego, ani okrutnego, ani złowieszczonego i nie do okiełznania nie działo się w Siellandii i na Bieli, a tym bardziej nie rysowało się na horyzoncie w bliższej lub dalszej perspektywie, w aspekcie losów tych obydwu wymienionych elementów ówczesnego świata. Skąd zatem wzięły się te obawy? Co do wyjaśnienia tej kwestii są dwie teorie. Jedna mówi o tym, iż zostało to wszystko sztucznie rozdmuchane przez autora, który chciał w ten sposób usprawiedliwić przed światem swoją wątpliwej potrzeby podróż, a także stworzyć swoiste tło dla tych wydarzeń. Druga teoria jest bardziej śmiała. Wskazuje ona na fakt sterowania życiem każdego Malutkiego przez Czas. Według niej działanie przed i podczas tej Wyprawy wszystkich jej uczestników (w tym i owego Malutkiego) było zaplanowane w najdrobniejszym szczególe przez Najwyższego, a także przez Niego od początku do końca kierowane. Ba — cel, który został osiągnięty, również zbieżny był z

Uważam, że w tej konkretnej sprawie (mojej decyzji) nie ma żadnego znaczenia to, że jestem młody. No dobrze... bardzo młody. Może nawet rzeczywiście zbyt młody, jak niektórzy twierdzą. Tylko czy to jest naprawdę takie istotne, skoro wiem, czego chcę i w jakim konkretnym zmierzam celu? A poza tym mam wystarczająco dużo ważnych dla sprawy wiadomości oraz odpowiedni poziom wiedzy, by móc bez problemów podjąć się tego zadania. Studiowałem wszak dogłębnie i wielokrotnie analizowałem przez ostatnich kilka lat wszystkie informacje o tym, gdzie mogą być ukryte. Rozmawiałem z tymi i owymi — głównie przedstawicielami Przyrody — wśród których te wieści wciąż są żywe. Miałem przy tym bardzo dużo szczęścia, gdyż udało mi się konwersować akurat z tymi, którzy dużo wiedzą na ten temat.

Wszystkie te cenne informacje i wskazówki przez nich przekazane zapamiętałem, ale ponieważ pamięć niestety bywa — co jest możliwe również i w naszym, Malutkich przypadku — ulotna i potrafi płać figla, na wszelki wypadek je również zapisałem. Ba — nawet pokusiłem się o narysowanie kilku ewentualnych alternatywnych tras do pokonania pomiędzy Nimi wszystkimi.

Tak więc z otrzymanych przeze mnie informacji wynika, że znam prawdopodobne miejsca ukrycia każdego z Nich. I nie boję się zarówno głośnego wypowiedzenia tych słów, jak również ich ewentualnych następstw.

Owszem, wiedza, w posiadanie której wszedłem wydaje się być niespójna i wymagająca w wielu przypadkach większej lub mniejszej weryfikacji. Ale jak do tej pory i tak wiem najwięcej spośród wszystkich dotychczasowych Poszukiwaczy na temat położenia każdego z Pierścieni. Nawet Natura — będąc przecież dwa razy na Bieli — nie zdobył tylu konkretnych informacji co ja. Już sam ten fakt stawia mnie — w tym wyścigu po Nie — na pierwszym miejscu. Dlatego uważam, że tylko ja mogę Je odnaleźć. Tym bardziej że mam przecież na to przyzwolenie całej Przyrody, która także chce, by Ich jedyna Właścicielka, Wskrzesicielka i Twórczyni znowu tutaj zawitała. Oczywiście wraz ze swym ukochanym. Pragną tego, by w ten sposób dopełniło się rozpoczęte, choć nie dokończone przez Nich dzieło. By mity oraz Przepowiednie Kaktusa zmaterializowały się. Co więcej, liczą też na Ich spokój i opanowanie oraz na to, że wstawią się za nami wszystkimi u samego Czasu. I zrobią wszystko, by ukrócić te Jego gierki, rozgrywane kosztem żywego organizmu, jakim jest nasza wspaniała Kraina.

wcześniej zaplanowanym przez Czas. Która z powyższych teorii jest prawdziwa? Pozostawiam to do wyjaśnienia naukowcom w przyszłości (przyp. tłumaczkii).

A zatem kto jak kto, ale ja mogę to zrobić. Tutaj. Teraz. Zaraz. Już!

Muszę też się spieszyć, by nikt inny mnie nie uprzedził i by cały ewentualny splendor, zaszczyt związany z osiągnięciem zasadniczego celu misji, zamiast na mnie nie spłynął na niego. By to przypadkiem nie on przeszedł do historii. I nie zapisał się przez to tym swoim prekursorskim, bo niesamowitym i do tej pory niemożliwym do realizacji czynem w Księdze Czasu. Nie zniósłbym tego afrontu.

Dlatego nie mogę na nic czekać, tym bardziej że i tak nie ma już zbytnio na co. Bo przecież dobrze wiadomo, że Licho nie śpi. Że czuwa. Obserwuje. Analizuje. I w każdej chwili gotowe jest do cichego, niedostrzeżonego ataku.

Wiem, że to, co chcę zrobić to szalony pomysł, albowiem do tej pory nikomu on się nie udał. Lecz nie dbam o to.

Tak jak i o to, że mogą Wam²⁰ się nie spodobać moje plany przejścia do historii. Przecież chęć zapisania się na kartach Księgi Czasu to nic złego. A i nowego, bo chociażby Flora i Fauna także nie tak dawno o tym mówili. Ba, sam Czas nie zaprzeczał jak i nie potwierdzał takiego stanowiska. Zatem musi być coś na rzeczy.

Dlaczego zatem i ja nie miałbym do Niej trafić? A tym bardziej w wyniku dokonania czegoś niesamowitego? Bo nie ukrywam, że chcę przede wszystkim być pierwszym, który znajdzie Je wszystkie rozsiane, rozproszone po całej Krainie i ostatecznie — po latach tułaczki i zawieruchy — wreszcie scali w jedną całość.

Wielu przede mną nie udało się Ich²¹ zlokalizować, a co dopiero zebrać. Ale liczę na to, że właśnie mnie się to jednak uda. Chcę po prostu być lepszy od innych i jednocześnie pragnę, by to właśnie moje pokolenie przeszło do historii. Zapisało swoją część w mitach. Ze mną na czele. By o nas, o mnie, nie zamierały nigdy późniejsze opowieści. I by stawiano mi (nam) pomniki.

Poza tym korci mnie bardzo, ażeby naocznie przekonać się, czy zapisane w mitach przepowiednie są rzeczywiste. Chcę je udowodnić lub zwyczajnie obalić. Pójść „pod prąd”, może nawet trochę na bakier z tradycją. I sprawdzić jej prawdy. A jeśli by doszło do tego, o czym myślę, jeśli stałoby się jednak inaczej, aniżeli zakładały mity, zmienić też myślenie na temat naszej tradycji, wreszcie ślepego oddania się

²⁰W języku siellandiańskim (w jego pisanej formie) podczas zwracania się do kogoś w zaimkach osobowych (Ty, Wy... etc.) stosujemy wielką literę (przyp. tłumaczki).

²¹W odniesieniu do Pierścieni Uczuć Przestrzeni, za oryginalnym tekstem, stosuję wielką literę, dla podkreślenia rangi Tych Wielkich Pierścieni, jednocześnie wyrażając wolę takiego Ich traktowania nie tylko przez autora, ale także przez wszystkie pokolenia zamieszkujące świat — w tym i Siellandię— od momentu wejścia tanecznym krokiem Czasu aż do „Fin-Des” (przyp. tłumaczki).

wynikającym z nich prawdom. No i chcę jeszcze za życia spotkać się z Przestrzenią i Naturą. Podziękować Im za to, co dla nas zrobili. Pokazać Im też — na co przecież w pełni zasłużyli — do czego doszli Ich Potomkowie.

A wszystko po to, by i Oni mogli spijać tę śmietankę z mleka, jaką przecież sami ubili²².

Wiem, być może za bardzo wzięłem sobie do serca wszystkie mity i tamtejsze dawne historie, tak często powtarzane przez rodziców oraz otoczenie. Zbyt mocno w nie uwierzyłem. I podporządkowałem im się. Ale chcę — bez względu na wszelkie tego czynu konsekwencje, na co gwizdzę głośnym gwizdem — udać się na poszukiwania, by na własnej skórze²³ przekonać się o Ich sile. I nie dbam przy tym o to, jaka to będzie droga. Łatwa czy trudna. Bezpieczna czy niebezpieczna. Prosta czy kręta.

Byłe łączyła ze sobą... kolejne Pierścienie.

Jednak za bardzo mnie to wszystko pochłonęło, żebym teraz — będąc tak blisko — zrezygnował. Kiedy mam już wszystko, co mi potrzebne do podróży. Od chęci, przez marszrutę, a na wytyczonym jasno celu skończywszy.

Nie będę więc tchórzyl. Wycofywał się. I nie odwiodą mnie od tego nawet czyhające zewsząd niebezpieczeństwa. Zarówno te, o których mówią mity, jak i te nieprzewidywalne, niemożliwe do zdefiniowania, bo czekające dopiero w miarę rozwoju sytuacji. To jest po prostu nieważne. I nic mnie nie zawróci z drogi mego postanowienia.

Dlatego dosyć tego! Podjąłem decyzję i nie ma już potrzeby deliberowania nad jej zasadnością czy słusznością. Wyruszam jutro! Bez wcześniejszego powiadomienia rodziców. Bez pytania o pozwolenie. Tak będzie najlepiej. Nie rozkliwiajmy się. Nie starajmy się sobie udowadniać niczego, przekonywać do swoich racji. A tym bardziej nie miejmy do siebie o nic pretensji. I nie odwodźmy się wzajemnie od swoich decyzji. Nie starajmy się kruszyć oporu. Przy tym nie barykadujmy na swoich pozycjach²⁴.

²²I w tym miejscu również nie popełniłam błędu w tłumaczeniu, albowiem ubijanie śmietanki z mleka było bardzo popularnym zajęciem wśród Siellandian. Towarzyszyło im tak naprawdę od samego początku, czyli od koczowniczego życia Siel i Natury podczas tułaczki po Siellandii. Zresztą Siellandianie do współczesności tej tradycji zostali wierni (przyp. tłumaczki).

²³W Siellandii istnieje powiedzenie — jego rodowód jest zawarty w tym zdaniu — które brzmi: „Przekonać się jak Poszukiwacz”. Jego ludzkim odpowiednikiem jest właśnie moje tłumaczenie (przyp. tłumaczki).

²⁴Taka postawa przez wszystkie pokolenia Siellandian została jednoznacznie odrzucona. Mało tego, uznano ją za błędną. Ale z drugiej strony gdyby nie ona, nie doszłoby do tego, do czego doszło, z czego Siellandianie zdają sobie sprawę do dzisiaj. Ten ostatni aspekt nie zmienia faktu, o którym napisałam na początku przypisu (przyp. tłumaczki).

Najlepiej będzie, jak oboje postawimy się przed faktem dokonanym. Zastosujemy terapię wstrząsową. To jeszcze bardziej nas zahartuje. A może i zbliży do siebie?

Jedyne, co zrobię, to pozostawię im małą karteczkę w holu. Żeby wiedzieli, gdzie jestem i co robię. Na pewno — kiedy ją przeczytają, a potem przemyślą i przeanalizują moje intencje — w pełni podzielą moje poglądy, uznają je za słuszne i uszanują moją decyzję. A przez to nie będą mnie szukać, aż do momentu, gdy w glorii i chwale nie powrócę.

A ja tymczasem wyruszę skoro świt — zanim wstaną — na poszukiwania.

Wezmę ze sobą coś do robienia notatek podczas podróży. Tak będzie łatwiej. I tam zapisywać będę zarówno to, co dzieć się będzie z nami po drodze, jak i nasze myśli. Będzie z tego niezła pamiątka, a i kronika wydarzeń, które — w razie gdybyśmy nie powrócili (w co nie wierzę, ale muszę założyć i takie rozwiązanie) — będzie wspaniałym dokumentem naszych poczynań podczas trwania tej mam nadzieję pięknej i pełnej wspaniałych przygód wyprawy.